

Wilk i lis byli dawniej przyjaciółmi. Raz lis udał niezwy-
wego i położył się nad drogą, którą przejeżdżał rybak
z niewodem i rybami. Rybak myśląc, że lis jest niezwywy,
położył go obok ryb na wóz. Gdy przyjechał do domu,
zauważył, że na wozie nie ma ani lisa, ani ryb. Podczas
jazdy lis zrzucił ryby z wozu, o czym świadczyły ich małe
gromadki, które rybak, cofnąwszy się kawał drogi, odna-
lazł. Kiedy lis zjadał ryby, przyszedł do niego wilk.

– Skąd të môsz tile rib? – pytał się lisa.

– Ułowiłem sobie w stawie.

– A jak to sę robi? – zapytał wilk.

– Chodz leno ze mną, to cy pokôżę.

Szli zatem do jeziora, gdzie jeszcze były przeręble wy-
cięte od niewodu.

– Tu leno włóż ogon w tę durę i czekôj jaż rëbë go
chwëcą, a jô tymczasem pudę zazdrzëc do moji jamë, a
potem przindę nazôd pomoc cy rëbë wëcągac.

Wilk czekał i czekał, a że był srogi mróz, więc naokoło
ogona utworzył się lód. Wilk ciągnął i ciągnął, ale wydo-
być go nie mógł. Lis tymczasem przybył z powrotem. Wi-
dząc, jak wilk się męczy, śmiał się.

– A widzysz, ile tich rib sę nagromadzëło, ale czekôj
no, jô cy pomogę je wëcągnąc.

Ujrzał w pobliżu psa i wabiąc go zaprowadził do wilka.
Sam zbiegł, a wilk, zaatakowany przez psa, szarpnął, aż
urwał ogon. Wskutek szczekania psa zbiegli się ludzie
i wilka ubili.

Tak się skończyła ta przyjaźń.

Wynoszenie się nad stan jest rzeczą niechwalebą i bardzo często ulega karze zawstydzenia i poniżenia sromotnego. Tak poszło pewnej pysznej młynarce, której historię krótko opowiem.

Było to w nie bardzo dawnym czasie w pewnej wiosce niedaleko miasta garnizowanego. Żył tam pewien bogaty młynarz z córką Dorotą. Córka ta była bardzo urodziwa, a że przy tym bogata więc pyszna. Na inne dziewczyny patrzyła z góry. Którejś nocy jej się śniło, że dostała królewicza na męża i odtąd cigle marzyła o królewiczu i za nim wyglądała.

O pięknej i bogatej jedynaczce młynarza dowiedzieli się oficerowie i podoficerowie z pobliskiego miasta i postanowili o nią się starać. Pierwszy udał się sierżant. Młynarz przyjął go bardzo grzecznie, ale Dorota, dowiedziawszy się o zamiarach gościa i nie chcąc go zrazić, odpowiedziała:

— Bar-zo mnie sę podobôsz i bar-zo rada bëm sę na to zgodzëła, ale wa wojskowi jesta w zli sławie, że wa jesta często niewierni, a zatim, żebëm jô sę przekonała, że tã będziesz mnie wierny, jidz dzysejszi nocë do koscoła, połóż sę tam na marë i przez noc przeleż. Skorno to uczynisz, będę twoją żoną.

Ledwie sierżant odszedł, przybył do niej kapitan, i temu oświadczyła że zgodzi się zostać jego żoną, jeżeli da dowód stałej dla niej wierności i tej nocy uda się do kościoła, by tam przy katafalku, przy nieboszczyku, wytrwał całą noc przebrany jako diabeł z widłami. Kapitan, chcąc okazać swą odwagę, przyrzekł to uczynić.

Nie trwało długo, zjawił się major. I ten otrzymał tę samą odpowiedź: owszem, wyjdzie za niego, o ile stanie przy nieboszczyku na marach, przestrojony za diabła, z łańcuchem w rękę.

W istocie jednak nie myślała wyjść za żadnego z nich, chciała się ich jedynie pozbyć przy pomocy dobrego figla, licząc na to, że żaden z nich polecenia nie wykona. Jej ciągle w głowie tkwił królewicz.

Tymczasem ci wojskowi szczerze zamierzali wykonać swoje przyrzeczenia, choć to było przykre zadanie. Przyszedł więc sierżant, położył się na katafalku i leżał choć na nim cierpła skóra. Za chwilę przybył kapitan, o którym sierżant nic nie wiedział. Wszedł do kościoła przebrany jako diabeł z widłami i stanął obok marów. Obu, sierżantowi i kapitanowi, ciarki chodziły po skórze, ale wytrwali. Po chwili wszedł major i zaczął brząkać łańcuchami.

Jak to usłyszał kapitan tak zadrżały mu ręce, że widły padły rzekomemu nieboszczykowi prosto na twarz, tak że on się poruszył. Skoro atoli kapitan zauważył, że rzekomy nieboszczyk się poruszył, wtedy bez namysłu wybiegł z kościoła, a ten sierżant, sądząc że diabeł szedł po niego z łańcuchem, też czym prędzej zeskoczył z katafalku i pojechał galopem z kościoła. Za nimi podążył major z łańcuchem. Pierwszy zawadził nogą o kamień i upadł, drugi na niego, trzeci na obu poprzedników. Kiedy się podnieśli, spojrzeli na siebie i się poznali, opowiedzieli sobie, jakiego figla młynarka im spletała. Wpadli w straszny gniew i postanowili się zemścić za wstyd. Ale jak? Z tej sytuacji wybawił ich doboz, który przypadkiem podслуchał rozmowę. Spytał się o co im chodzi. Początkowo wstydzili się powiedzieć, ale ostatecznie major oświadczył:

– Jeżeli dôsz nóm dobrą radę nie tilko cy powiemë, ale dómë cy ponadto sto talarów.

– Ech, ni ma taci sprawë gdzebëm nie widzôt radë.

Dobosz słynął z tego, że się z wszelkiej opresji umiał wywinąć, więc wyznali mu prawdę. Pomyślał chwilę i rzekł:

– Zradzta mnie strój królewski, a jô ji wëpłatóm też ta-cięgo figla, jak ona wama zrobiła.

Na to oni się zgodzili. Wynaleźli rekwizyty teatralne, wystroili dobosza w strój królewski i z wielką paradą, w pysznym pojeździe zajechał do młyna i tam stanął jako domniemany królewicz, wspaniale przyjęty przez młynarza. Ale dobosz chciał zaraz ujrzeć młynarkę i usłyszeć jej odpowiedź, czy się zgodzi wyjść za niego. A ona wyszła czym prędzej przywitać królewicza i oświadczyła, że bardzo chętnie wyjdzie za niego.

Weszli więc, rzekomy królewicz, młynarz i młynarka, do najpiękniejszego pokoju i zaczęli rozmawiać o weselu. Dobosz, któremu chodziło tylko o wypłatanie psoty, chciał poprzestać na otrzymaniu zgody na zamążpójście młynarki i zaproponował wesele za rok. Ale młynarka domagała się natychmiastowego ślubu. I na tym stanęło.

Kiedy zajeżdżali do kościoła przywitał ich cały garnizon wojskowy z muzyką. Wojsko odprowadziło też orszak weselny do domu. Dopiero wtedy żołnierze zaczęli się śmiać. Oficerowie ściągnęli z dobosza strój królewski i wojsko odmaszerowało do garnizonu ku niezmiernemu zawstydzeniu pysznej młynarki.

Ale co się stało tego już nie można było odmienić. Zamiast królewicza miała teraz dobosza. I tylko pocieszała się tym że mąż wniósł do gospodarstwa sto talarów. I parę bębnow.

Pewien młody człowiek wstąpił do karczmy i poprosił o kilka gotowanych jaj. Karczmarz życzeniu uczynił za-
dość i przyniósł mendel jaj gotowanych, za które gość
chciał zaraz zapłacić. Ale karczmarz nie przyjął zapłaty,
tłumaczywszy się, że mu nie warto odbierać takiej ma-
leńkiej kwoty.

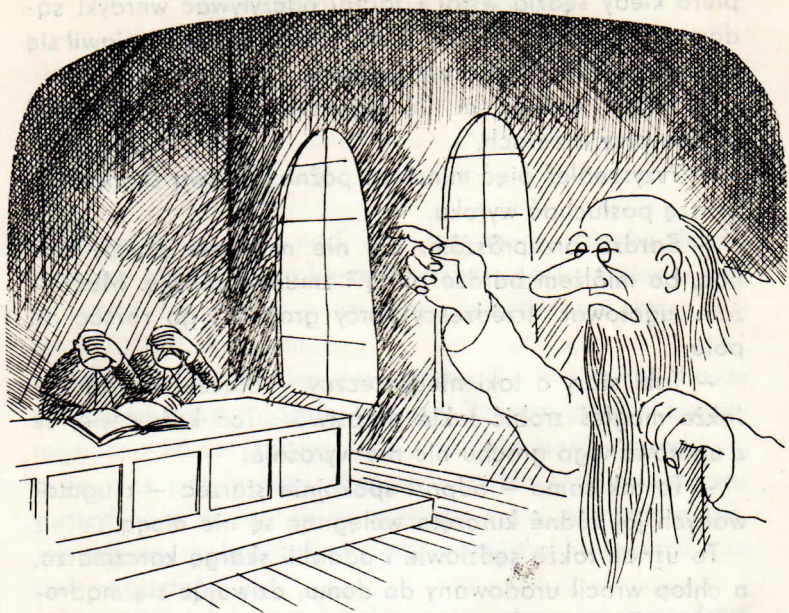
– Jak stracisz więcej wtedy zapłacisz wszystko razem
– powiedział.

– Cziéj nié, téj nié – odparł młody człowiek, nie za-
płacił i poszedł.

Minął rok i dwa, młodzik zapomniał już o śniadaniu
w owej oberży, ożenił się bardzo bogato, miał wyborne
gospodarstwo i żył dostatnio. Naraz otrzymał od owego
karczmarza wezwanie zapłacenia sumy należnej za spo-
żyte mendel jaj, ale poza tym także za kurczęta które by
w tym czasie wyląc się i urosnąć mogły. A to już była
walna suma. W trop za wezwaniem zapłaty przyszła
skarga sądowa.

Na rozprawie sądowej młodzik stanowczo się bronił, że
przecie karczmarz wówczas zapłaty nie chciał, a zresztą
za spożyte jaja chętnie zapłaci. Sprawę jednak przegrał
i sąd pretensje karczmarza całkowicie uznał.

Młody gospodarz odwołał się do wyższej instancji z za-
miarem podania świadka obrony. Ale upływał czas,
a żadnego świadka nie mógł znaleźć, gdyż nikt się nie
zgłosił co był w owym czasie podczas jego śniadania
w karczmie przed dwoma laty, a on sam nie pamiętał czy
i kto tam był obecny. Nadszedł ostatni dzień przed ter-
minem i młody gospodarz już uważał sprawę swą za



przegraną. Bardzo się tym martwił i idąc przez las płakał gorzko. Naraz przy nim stanął starzec i zapytał się o przyczynę jego żalu.

– Móm jutro sprawę w sądzie, a ni móm żódného świôdka, a bez niego sprawę przegróm. – I opowiedział mu całą rzecz.

Obcy człowiek wysłuchał, pomedytował chwilę, a wtedy rzekł:

– To sądzysz, że przegrôsz sprawę bo ni môsz świôdka. Ale nie martw sę zanadto, jeżeli zechcesz, téj jô cy będę za świôdka, to tē sprawę wëgrajesz. – Potem znikł.

Drugiego dnia na terminie karczmarz już zaraz na wstępie powiedział oskarżonemu, że proces przegra, boć zrozumiałą jest rzeczą, iż z mendla jaj może być tyle a tyle kurcząt, a te znów również mogą mieć mnogą ilość jaj i następnie kurcząt. Tego zdania był też sąd, ponieważ zapowiedziany świadek jakoś nie przychodził. Do-

piero kiedy sędzia wstał i zaczął odczytywać werdykt sądowy, naraz otworzyły się drzwi sali sądowej i pojawił się starzec z siwą brodą, cały zziębnięty.

— Jô jem świôdciem dlô tego człowieka! — zawołał głośnie przy drzwiach.

— Przyszedłeś pięć minut za późno, sprawa skończona, proszę posłuchać wyroku.

— Bardzo przeprôszóm, ale nie mógłm przędzy stając, bo miôłm bardzo pilną i zmuďną robotę. Muszôłm ugotowac trzédzescy korcy grochu i go rozsôc na polu.

— Taki stary a taki niedorzeczny — odrzekł sędzia. — Jakże mogłeś zrobić takie głupstwo. Toć każdy wie, że z ugotowanego grochu nic nie wyrosnie.

— To tak samo — odparł spokojnie starzec — z ugotowanych jôj zódné kurczęta wêlęgnąc sę nie mogą.

To uznali także sędziowie i oddalili skargę karczmarza, a chłop wrócił uradowany do domu, dziwując się mądrości świadka.

O KRÓLU CO SIĘ NUDZIŁ

Przed wielu laty żył król imieniem Niemnir, który miał wszystkiego pod dostatkiem. Bogactwo, strój, pałace, kobiety, zabawy rozprawy z uczonymi i o czym tylko człowiek pomyśli – wszystkiego tego miał aż za dużo. I to mu obrzydło do tego stopnia, że życie mu się sprzykrzyło.

Wtedy jeden z jego doradców, Poczciwota, poradził, żeby się zajął rządzeniem kraju. Z początku to go zajęło bardzo. Dotąd ministrowie rządili, każdy po swojemu, tak jak im się podobało i jak tego wymagały własne korzyści. Wskutek tego w kraju panował wielki nieład, swary i bieda. Rychło król tego doznał pousuwał złych urzędników, a na ich miejsca powoływał dobrych ludzi, wydał rozsądne rozporządzenia i ustanowił sprawiedliwe sądy.

A że rządził samowładnie, jak to wówczas królowie rządzili, więc rozkazy zostały przez poddanych statecznie wykonane i wszystko szło z czasem dość dokładnie, jak maszyna dobrze nastawiona. Znalazł przy tym bardzo mądrego i uczciwego doradcę – ministra, który wszelkie sprawy obmyśleć i zarządzić potrafił, tak że król tylko zarządzenia i nakazy podpisać potrzebował i przynależne królowi czołobitności odbierał. Ale właśnie ta czołobitność sprzykrzyła się królowi.

– Kiedy patrzę na innych ludzi – rzekł rad do swego doradcy – wtedy nie widzę żadnej różnicy między mną a nimi. Tak jak inni żem się narodził, na czworakach chodził, tak jak innym dokuczają mi różne posydyła, choroby, jak i inni muszę raz umrzeć i w robaczywej ziemi zakopany będę. To po co ta czołobitność i te głupkowane pochlebstwa, jakie mnie, jakby jakiemu bózkowi, niejed-

ni durnie prawią. Już mi to i całe rządy obrzydło. Ja temu najlepiej dam wszystkim spokój. Odkąd ty tu, mój ministrze, sprawujesz statecznie swój urząd ja nie mam co robić. A bez ciebie się nie obejdzie! Czemu ja jestem królem? Toć nie dlatego, żebym był nad innych mądrzejszy, tylko że jestem potomkiem królewskim. Ty jesteś starszym i mądrzejszym ode mnie, bo i więcej doświadczenia masz, tylko że tej władzy tobie nie przyznają i na mój podpis czekają. Tak mój urząd ogranicza się do podpisywania mego imienia. A to każde dziecko potrafi, które do szkoły chodzi...

— Waszej jasnej mości — wtrącił inny doradca, Zbój-ski co słyszał w sąsiednim pokoju te narzekania — potrzebny jest czyn. A tego trzeba szukać na wojnie.

Król Niemnir miał różnych sąsiadów, a z tych jeden był bardzo niespokojny i zaborczy. Pobił już inne kraje i spობił się do napaści na kraj Niemira. Rozpoczął też zaczepki wojenne, ale wtedy król Niemnir wyruszył przeciw niemu i tak go zbił, że awanturnik prawie całe wojsko i połowę kraju stracił i wojny mu się odechciało. A z innymi krajami Niemnir nie miał o co wojować, bo po tej wygranej nikt nie miał odwagi ani ochoty z nim zaczynać.

— Po co ja jeszcze mam wojować?
— Dla sławy — odpowiedział Zbój-ski.
— Dziwna to sława — odparł król Niemnir. — Zabijać i kazać zabijać się ludziom, co do tego żadnego powodu nie mają. Morderstwa, rabunki, zniszczenie i nędzę wywoływać! Podobnej sławy nabyć może złoczyńca, zbój, co też wysoko, bo na szubienicy zawiśnie. Sława, co tyle ofiar, klęsk i nieszczęść ludzkości przyniesie, to nie sława jeno hańba. To już lepiej, żebym ja sam zginął, zamiast na innych śmierć i nieszczęście sprowadzać!

I tak król znowu się nudził i zamyślał ze świata się wynieść. W takich zamysłach zaszedł raz do lasu i stanął nad głęboką przepaścią pod którą się bielił źródłany staw, i zastanawiał się nad tym czy by nie skoczyć do

jego głębi i tak się pozbyć nudów, które mu dojadły. W tej chwili wyskoczyła ze stawu urodziwa dziwożona Rajka i zapytała się króla, co go tu sprowadziło i dlaczego zwątpienie go ogarnia. Niemnir opowiedział, że wszystko mu na świecie obrzydło i żadnego miru już nie ma. Rajka mu rzekła:

– Ty nie jesteś bardzo mądrym, ale uczciwym i statecznym królem co krzywdy ludzi nie chce tylko ich dobra, toteż szkoda by było, żebyś miał taką wzdorliwą śmiercią zginąć. Dam ci inną radę. Widzisz tam na brzegu stawu twoją łódkę, którą ześ z dworzanami na rozrywki jeździł? Sadnij na nią, a jeżeli zechcesz, weź ze sobą nóż, łopatę, topór albo siekierę, bochenek chleba i krzesiwo, i czekaj co dalej będzie.

Król Niemnir to zrobił. A w chwili, kiedy stanął w łódce staw zaczął się wydłużać i on płynął i płynął łódką, i nic nie widział tylko samą wodę. Wreszcie zasnął, a kiedy się zbudził, ujrzał się na samotnej i urwistej wyspie, gdzie ani jednego człowieka nie było. Zrazu to go ciekawiło i zaczął obchodzić ten ostrów, który miał dużo osobliwości, stare, potężne, po części już pomarłe, ale i młode drzewa, bagna, opoki, góry, grzępy, smugi i doliny, a żadnej chaty, żadnych ludzi a nawet istot żyjących, prócz paru przelatujących ptaków.

Byłby chodził jeszcze dłużej, gdyby nie głód, co mu się rychło odezwał. Zjadł bochenek chleba, ale żołądek domagał się więcej, tak że król był zniewolony oglądnać się za posiłkiem. Nic jadalnego nie ujrzał, tylko jagody i drobne orzeszki na wysokich drzewach, po które musiał się wspinać, a to mu zabierało dużo czasu. Ale nadto nie miał gdzie się schronić w nocy ani podczas ulewy deszczowej, która wnet go trafić zaczęła. Na jakiś czas chroniły go przed deszczem liściaste drzewa, lecz i noc nadchodziła, a i chłód dawał się powoli we znaki, tak że nie przywykły do takich niewygód zaczął trząść się jak liść.

Jedną i drugą noc przetrzymał, ale potem zabrał się do lepienia sobie z gliny jakiejś chaty, podpartej drążkami, jakie wycinał zabranym toporem i w kominku przy pomocy krzesiwa rozpałił sobie ogień. Zajęło to mu wiele czasu i kosztował wiele trudu. Ale nie było innej rady a przy tym nie doznał żadnej nudy.

Trudno było się kontentować samymi jagodami i orzechami. Sporządził tedy wędkę na ryby, wylepił i wypalił sobie garnki do gotowania, dzbany do przynoszenia wody, jak i inne potrzebne przybory. Niespodziewanie też natknął małe kozłátko, za którym, gdy je zabrał, podążyła tegoż matka, którą powoli oswoił. Od niej uzyskał mleko. A z czasem przywabił jeszcze drugą i trzecią kozę. Aby je jednak zachować musiał dla nich przygotować ogrodzenie.

Pewnego razu też przyleciały do niego dzikie kury spłoszone przez ptaki drapieżne, co stanowiło dla niego nową pożądaną zdobycz. Wszakże teraz miał nowy obowiązek, a mianowicie postarać się o zapasy dla siebie i dla oswojonych zwierząt i ptaków. Nie wiedział jeszcze, jaką będzie na tej wyspie zima, wszakże z nią liczyć się było trzeba. Jakoś w jednym zakątku wyspy znalazł rośliny podobne do jarzyn mu znanych, jakby tam już przed nim na tej wyspie ktoś mieszkał i zasiał je a nie pielęgnowane rosły nadal dziko. Zaczął je zbierać i gromadzić w jednej z jam, na użytek codzienny i na zapas zimowy. Przy tej pracy podarły się jego królewskie szaty, które trzeba było naprawiać, musiał też pomyśleć o nowych butach które zaczął wyplatać z łyka drzew.

Wszystką tą pracą Niemnir był tak zajęty, że od rannych zórz, kiedy wstawał, do późnej nocy ani na chwilkę wypoczynku nie mógł sobie pozwolić. Tyle, że czasem coś sobie zanucił, albo obmyślał nowe plany.

Miał pod dostatkiem jedzenia i wody, był zdrow i nigdy nie popadł w melancholię, aż się sam sobie dziwił. Stracił zupełnie rachubę czasu i nie pamiętał nawet, jak

długo już przebywał na wyspie, aż pewnego dnia pojawiła się znowu Rajka i zapytała, czy się czuje uleczony. Jeżeli tak, to może wrócić do swego kraju. Ale Niemnir o tym ani myślał.

— Po co? — odpowiedział. — Ja się tu czuję lepiej aniżeli tam, na tronie, wobec nudów i w otoczeniu błazeńskich dworaków.

— Ale obowiązek cię woła. Twój zacny minister Poczciwota umarł, a jego następcy, każdy na swoją korzyść naród wyzyskuje i dręczy bo nie ma statecznej władzy. I coś ty przedtem z ciężkim trudem dokonał znowu pójdzie na marne.

— A jak ja tu stąd odejdę pójdzie w rozsypkę to, co-żem tu zbudował — wtrącił Niemnir, co się już tak wzył w swoją gospodarkę.

— To już znak, że jesteś naprawdę wyleczony, skoro tak mówisz, ale nie martw się, już tu się kto inny znajdzie — odparła dziwożona.

Wsiadł więc król do łodzi, na której swego czasu do owej wyspy przybył, a która przez ten czas nie wiadomo gdzie była ukryta, i znowu płynął i płynął po nieznanach i niezmiernych wodach. Aż pewnego dnia wylądował na jakiejś szerokiej rzece w pobliżu wielkiego miasta. Nad brzegiem rzeki zobaczył bladą niewiastę otoczoną gronem służebnic. Służebnice obsługiwały ją, wargi, lica i paznokcie malowały na czerwono, brwi na czarno, jak to próżne i próżniacze damusie czynią nie znając żadnej produktywniej pracy. I wszelkie inne posługi czyniły, tak że ich pani się sama ruszyć nie potrzebowała. A pomimo to jakoś z bolesnym westchnieniem zawołała:

— Och, jakże to życie jest nudne! Wcale żyć nie warto!

— Hej! — odrzyknął osobliwy żeglarz który to usłyszał. — Na te nudy jest tania rada. Niech no pani wsiądzie na ten statek.

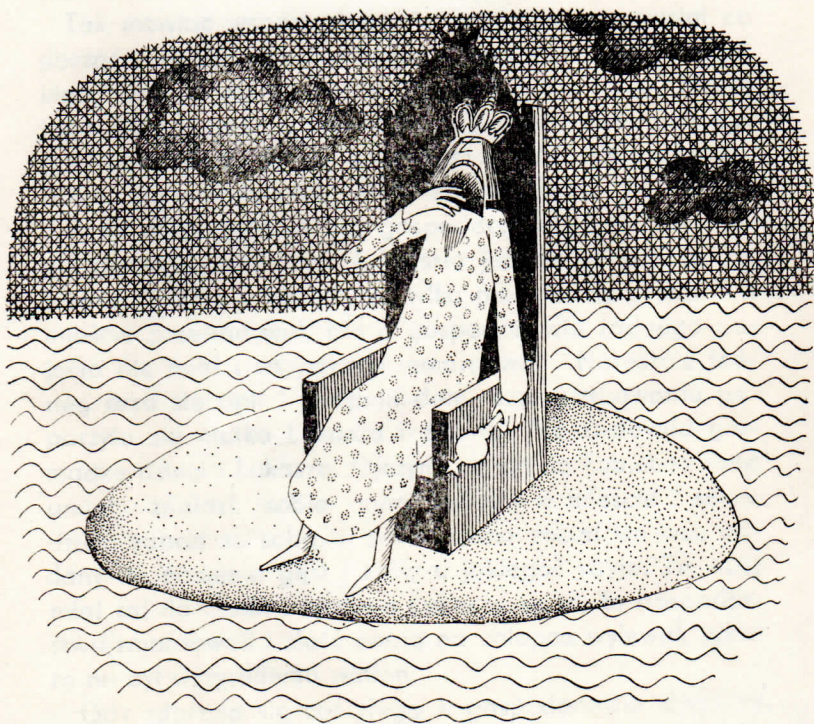
A skoro to uczyniła, statek odpłynął z nią na ową tajemniczą wyspę. Król oświadczył jej:

– Skoro moje gospodarstwo utrzymywać będziesz w dobrym stanie to będziesz wyleczona z nudów.

A potem odpłynął do swego państwa i zaczął znowu rządzić dobrze i sprawnie. A że poznał, iż ciężka praca jest najlepszym środkiem na nudy, nie próżnował nigdy i nie marnował czasu na próżne bale i rozrywki, lecz jeśli czuł potrzebę odmiany wtedy zabierał się do jakiejś gospodarki.

Po pewnym czasie zjawiała się u niego znowu dziwona Rajka i powiedziała mu, że może pojechać po uwięzienie, bo już się wykurowała.

Zastał ją zdrową i rumianą, choć przyznała się, początkowo go przeklinała, że ją do tej wyspy zwabił, bo



wcale sobie rady dać nie umiała. Na szczęście Rajka czasem stawiała jej do pomocy. Przy końcu atoli takie ruchliwe życie całkiem jej się podobało.

Zabrał ją wtedy ze sobą i z nią się ożenił. Podobno żyli szczęśliwie, bo mieli mało czasu, żeby myśleć o sobie.

Gdy potem królowi ludzie się na ciągłą pracę i trudy uskarżali, gdy mówili, że życie to tylko myśl o śmierci i kłopoty codzienne, odpowiadał:

– Cieszcie się że macie pracę i swój trud, bo inaczej byście ogłupieli.

A niektórych głośniejsz narzekających wysyłał na tę wyspę.